

Krzysztof Wojciechowski

Marmurowe kule*

Następnego dnia rano S.P. wyszedł o umówionej godzinie przed hotel. Cicero spóźnił się czterdzieści minut. Obecność S.P. przed budynkiem była jak zadra tkwiąca we wszechobejmującym ciele. Portier dopytywał się pięć razy, dlaczego gość stoi sam, recepcjonista wychodził dwa razy upewnić się, czy opiekun przybędzie, a dyrektor popatrywał bez przerwy z okna na drugim piętrze. Przecho dzący ulicą — nieliczni o tej porze dnia — na widok S.P. spuszcza li głowy.

Kiedy Cicero zjawił się wraz z pojazdem, zaczął od kłamstwa, że rano zachorowała mu żona. Potem przedstawił kierowcę oraz siedzącego obok niego na koźle przewodnika. Przewodnik był ponoć bardzo zasłużony i miał podszewkę szaty w całkiem niezłym gatunku. Uśmiechnął się kwaśno w sposób charakterystyczny dla wszystkich tajniaków tego świata.

Podróż rozpoczął wykład Cicera na temat rozwiązania problemu produkcji, bowiem udawali się w odległe o sto dwadzieścia kilometrów miejsce, gdzie pracuje jeden z dwunastu oddanych do użytku transmaterializatorów. To właśnie transmaterializatory — z pewnym wynikającym, jak odbierał to S.P., z rutyny znudzeniem tłumaczył Cicero — rozwiązują trapiący człowieka od tysięcy lat problem wytwarzania. Są one istotnym elementem Ery Ładu. Ich działanie polega na przekształcaniu za pomocą mocy grawitacyjnej energii uwięzionej w dowolnym kształcie materialnym *A*, w energię uwięzioną w dowolnym kształcie materialnym *B*, oczywiście przy zachowaniu zasady ekwiwalentności. Oprócz tego transmaterializator kreuje pracę w nowej fizyczno-duchowej formie. Praca

* Rozdział niepublikowanej powieści, napisanej przez jednego z asystentów prof. Jan kowskiego. Powieść ta wyrosła z inspiracji osobą Profesora i nosi dedykację:
Henrykowi, w uznaniu dla mądrości, w podziwie dla fantazji.

Bohaterem powieści jest ekstrawagancki współczesny filozof, Sokrates Pierrefoux, który odbywa podróż do dwóch fikcyjnych krain: Utopii i Pantopii. Utopia jest zrealizowaną ideą oświeceniowego racjonalizmu, którą wcielili w życie na odległej wyspie uciekinierzy z Francji epoki rewolucyjnej. Dzięki swemu wyspiarskiemu położeniu wśród mgieł północnego Atlan tyku, przetrwała w izolacji 200 lat i osiągnęła ostateczne stadium racjonalnego społeczeństwa.

przestaje być niewolniczym odtwarzaniem, a staje się radosnym tworzeniem w Prawdzie, przez Prawdę i dla Prawdy. Oczywiście obiektywnej.

S.P. z zażenowaniem, choć bez protestu, słuchał tych ideologicznych zaklęć, lecz nie przerywał, bo czekał, aż nadarzy się okazja by wysondować, w jakiej mierze to wszystko jest prawdą. Trapiło go bowiem podejrzenie, iż nie jest w ogóle możliwa maszyna wytwarzająca coś z niczego, nawet jeśli to nic jest niczym tylko w potocznym sensie. Kiedy Cicero opowiadał, że transmaterializatory wytwarzają dobra powszechnego użytku, podając ich ilość w tysiącach ton, S.P. wpadł mu w słowo i zapytał, czy transmaterializator jest w stanie przerobić górę śmieci o odpowiedniej masie na — dajmy na to — dwieście tysięcy par pantofelków balowych.

Twarz Cicera przybrała wyraz będący wstępem do śmiertelnej obrazy.

— Dlaczego sądzi obywatel, że najdoskonalszy wytwór myśli ludzkiej powinien działać w celu pomnażania fałszywego zbytku? — powiedział wolno i dobitnie, gotów odeprzeć podstępny atak.

S.P. odparł, że nie chodziło mu o zbytek, tylko o dowolny przedmiot konsumpcyjny, którego wytworzenie wymaga zaawansowanej wiedzy i umiejętności.

— Nie wiem, doprawdy, skąd wziął się u obywatela pomysł, że obuwie feudalne typu dworskiego mogłoby być symbolem zaawansowanej wiedzy i umiejętności w dziedzinie wytwarzania? — brzmiała druga odpowiedź Cicera, tym razem mniej bojowa.

S.P., balansując na granicy emocjonalnego wybuchu zapewnił, że intencją jego było zorientowanie się, czy wspiana maszyna wytwarza rzeczywiście dowolne przedmioty. Usłyszał na to:

— W planowej gospodarce Ery Ładu nie ma miejsca na wytwarzanie przedmiotów dowolnych. Wytworzenie każdego przedmiotu określone jest albo interesem społecznym, albo jego samoistnymi walorami.

S.P. nie raz zmuszony był dyskutować z człowiekiem, który miał w sobie zarazem cechy biegłego dialektyka i kompletnego matola, ale zawsze odbierało mu to wigor. Zaczął więc gapić się przez małe okno pojazdu na rzadko rozsiane kamienne budynki, podeptane i zaśmiecone pustkowia oraz na ołowiane chmury na niebie. Po chwili jednak zebrał siły, pomyślał, jak znaleźć dojście do tego zasklepionego umysłu i zapytał, czy transmaterializator jest w stanie wytworzyć z materii niepotrzebnej w gospodarce planowej określoną serię przedmiotów zaplanowanych i użytecznych, na przykład spełniających normy budowlane blochków kamiennych, z których potem można wzniesć mieszkania szkoły i szpitale.

Cicero spojrzał na niego z zadowoleniem, z jakim nauczyciel spogląda na tępawego, acz gorliwego ucznia.

— Tak jest, nasze maszyny są w stanie wytwarzać blocki kamienne z dowolnej materii i na tym polega ich przewaga nad wszelkimi innymi maszynami wytwarzanymi na świecie.

Po udzieleniu tej odpowiedzi uszło z Cicera napięcie i siedział do końca podróży obojętny i milczący.

Jechali przez słabo zaludnione okolice. Droga wiodła pograniczem dwóch formacji geologicznych. Z prawej strony rozciągały się podmokłe łąki przechodzące stopniowo w bagnistą tundrę, z lewej zaś rozciągał się kamienisty płaskowyż, z rzadka urozmaicony niedokończonymi budowlami i wysypiskami śmieci. Wzdłuż szosy ciągnął się głęboki rów.

S.P. nudził się i denerwował, bo przez okno wciąż wpadały wielkie muchy i koniecznie chciały posiedzieć na jego krawacie. Nigdy by nie przypuszczał, że w tak chłodnym klimacie owady mogą się upaść do tak wielkich rozmiarów.

Po półtorej godziny zza zakrętu wyłonił się cel podróży.

Zbliżali się do miejsca prac i z daleka widać było transmateralizator. Miał on cztery piętra wysokości i przypominał średniowieczną wieżę oblężniczą. Otaczał go spory tłum. Chrypiący nad ludźmi głośnik podawał komunikaty.

Pojazd zatrzymał się w odległości 300 metrów od miejsca robót. Kiedy wysiadali, S.P. wyczuł, że Cicero porusza się powoli i z namaszczeniem, bo zaley mu, by w porę został dostrzeżony i przywitany.

I rzeczywiście — głośnik wyłączono, a zbliżającym się gościom wyszedł na przeciw kierownik robót. Był to dość nieciekawej jegomość w chałacie z satynową podszewką. Z uszu sterczały mu niedbale upchane kłęбки waty. Mówił nadmiernie głośno, przyzwyczajony do przekrzykiwania hałasu.

— Mam zaszczyt powitać szanownego gościa naszego państwa i towarzyszącego mu dostojnika — członka Rady. Trwające od dwustu lat wysiłki naszych kierowniczych gremiów doprowadziły...

Dalej posypały się informacje, a raczej deklaracje, które S.P. znalazł na pamięć. Uwagę zatem skupił na sposobie, w jaki kierownik robót mówił. Właściwie cały czas używał podniesionego głosu, ale robił to beznamietnie, niemal mechanicznie. Widać objaśniał już transmateralizator setki razy. S.P. nigdy by nie przypuszczał, że można krzyczeć w sposób tak beznamietny i niemrawy.

Podczas przemówienia S.P. przyglądał się dyskretnie innym postaciom otaczającym urządzenie. W odległości dziesięciu metrów za kierownikiem przystanęło sześciu mężczyzn, również podszewkowych, choć w gorszym gatunku. Byli widać brygadzystami. Słuchali z rękami splecionymi na brzuchach, a oczy uciekały im w głąb czaszek. Dalej, u podnóża maszyny stało blisko pięciuset robotników. Trudno zresztą było nazwać to stanem, bo tylko niektórzy z nich trzymali głowy na tej wysokości, jaka jest typowa dla człowieka stojącego. Większość wspierała się ciężko na trzonkach łopat, pozostając w postawie głęboko pochylonej. Niektórzy przewieszani byli głową w dół przez trzonki i sprawiali wrażenie, jakby ich na nie nadziano. S.P. zauważył również, że łopaty dostosowywane były własnym sumptem do drzemania na stojąco: szufle kończyły się płasko i szeroko, a do trzonków przymocowane były różnego rodzaju pomysłowe podpórki.

Folgując swej przekorze S.P. przerwał w pewnym momencie wywody i zapytał, pracę ilu ludzi jest w stanie transmateriałizator oszczędzić.

— Maszyna wykonuje pracę pięciuset ludzi, przecież chyba obywatel to widzi — odparł kierownik tonem prywatnym, a więc cichszym.

S.P. podkreślił, że chodzi mu o to, pracę ilu ludzi można dzięki maszynie oszczędzić.

— Pracy nie należy oszczędzać. Społeczeństwo, które oszczędza pracę, skazane jest na zagładę — wyrzucił z siebie kierownik tonem znowu urzędowym. Po krótkiej chwili kłopotliwego milczenia poinformował:

— A teraz przystąpimy do wykonania kolejnego fragmentu zadania. Radzę szanownemu gościowi i członkowi rady zabezpieczyć organ słuchu. To mówiąc podał obu mężczyznom po kłębku niemilosiernie brudnej i śmierdzącej środkiem dezynfekcyjnym waty. S.F. pomanipulował nią trochę koło uszu, a potem dyskretnie wyrzucił za plecami. Kierownik podprowadził gości ku przodowi transmateriałizatora. Dał znak i nad samą ziemią rozciągnięto na odległość piętnastu metrów czarną harmonijkę przypominającą stare aparaty fotograficzne. Potem kierownik nakazał wszystkim odsunąć się, podszedł do korpusu maszyny i pociągnął za dźwignię.

Całą okolicą wstrząsnął potężny huk. Ziemia zadrgała, aż pomniejsze kamienie podskoczyły na kilka centymetrów. Połowa robotników przewróciła się na ziemię i podnosili się teraz, nieprzyjemnie przebudzeni.

Kiedy echo cichło, a kurz opadał, maszyna zaczęła warczeć, zgrzytać i trząść się, jakby w jej środku coś się gotowało. Kierownik zaczął wykrzykiwać, że właśnie dokonuje się proces transmateriałizacji, ale musiał przerwać, bo gdzieś z góry siknął niespodziewanie strumień ukropu. Robotnicy odskakiwali wśród przekleństw na boki.

Kiedy wszystko ucichło, kierownik oznajmił, że odcinek zadania został wykonany i że następny zostanie podjęty za 46 minut. Cicero ożywił się, jak po spełnieniu obowiązku. Widać było również, że doznał nadmiaru wrażeń i wysiłków, na co dobrze robi wygodne rozłożenie się w pojeździe. Zapytał S.P., czy już mogą wracać. S.P. jednak delikatnie, ale stanowczo oznajmił, że chciałby zobaczyć, jak w ciągu owych 46 minut przebiegać będą prace.

Na polecenie kierownika ściągnięto z powrotem harmonijkę. Oczom zebranych ukazał się głęboki na półtora metra rów. Jego trapezowo pochyle ściany były idealnie gładkie. Doskonale wycięty czy raczej zlikwidowany kamień pozostawiał błyszczącą, polerowaną powierzchnię. S.P. podszedł, pochylił się i z graniczącym z zachwytem niedowierzaniem gładził perfekcyjny wytwór.

Machine przesunięto piętnaście metrów do przodu. Z tyłu za nią ukazał się rów wytworzony na poprzednim etapie. Był równie gładki i nieskazitelny. Kierownik ponownie polecił odsunąć się wszystkim i wtedy coś zahuczalo w górnej części transmateriałizatora. Uchyliła się spora kłapa i wieżę zaczęła opuszczać materia w postaci *B*. Z krótkiej rynny poczęły się staczać ogromne, o metrowej

średnicy kule z jasnego marmuru. Bębniły przez kilka sekund po szerokiej blaszce, a potem waliły się w czteropiętrową przepaść. Zmierzały ku ziemi lotem powolnym i celebrowanym, prosto na spotkanie gładkiego, kamiennego łożyska. Sięgnąwszy go, roztrzaskiwały się z głuchym łoskotem. Białe marmur przyskałał na wszystkie strony, a tłuczony wciąż na nowo wydzielał białą mgiełkę. Z kilkudziesięciu kul, które wytoczyły się z maszyny zostało po kilku minutach białe rumowisko.

Wtedy do pracy przystąpili robotnicy. Tłoczyli się nad gruzem ze wszystkich stron i każdy próbował nabrać nieco na łopatę. Szło im to bardzo opornie, bo szerokie szufle nie nadawały się zupełnie. A nawet jeśli komuś udało się coś nabrać, to w ogromnym tłoku zahaczał podpórka na trzonku, rozsypywał ładunek i musiał nabierać go od nowa.

Niemrawa, beznadziejna szamotanina trwała aż 40 minut, zanim ludzkie mrowie wyrzuciło kilkanaście metrów gruzu na pobocze. Rów, który się ostał, był potrząskany i zaśmiecony. S.P. przyglądał się temu wszystkiemu targany szalonymi emocjami. Chciało mu się na przemian krzyczeć, śmiać i płakać. W pewnym momencie opanował się i zapytał Cicera, dlaczego machina wypłula kule z marmuru?

— Bo marmur to najszlachetniejszy rodzaj kamienia — odparł Cicero. S.P., widząc, że rozmówca znów będzie krył się za odmienną oczywistością, postanowił prowadzić rozmowę krok po kroku. Nie chciał pytać, dlaczego maszyna nie robi cegieł, butów lub posążków Pierwszego Uczonego, bo musiałby tłumaczyć, dlaczego uważa, że potrzebne są akurat buty lub posążki. Zapytał więc, dlaczego kule, a nie inne bryły geometryczne opuszczają transmateralizator?

— Konstruktorzy urządzenia zdecydowali się na kulę, bo jest ona najdoskonalszą bryłą we wszechświecie.

Po tej odpowiedzi S.P. ogarnął chwilowy paraliż. Spuścił głowę i nie słyszał nawet potwornego szurania łopat o gruz.

Drogi S.P. Twój wysiłek idzie teraz w niewłaściwym kierunku. Nikogo tu nie oświecisz ani nic nie wywalczysz. Zamiast bawić się w misjonarza rozsądku, co robiłeś przez całe życie, wyteż wyobraźnię i wszystko stanie się dla Ciebie jasne. To, co masz przed sobą jest prawdopodobnie egzemplarzem prototypowym przygotowanym na wystawę z okazji jakiejś rocznicy. Na wystawę przybyli Uczeni i konstruktor postanowił ich olśnić przerabiając — dajmy na to — furę błota na kilkanaście marmurowych kul. Ty postąpiłbyś tak samo, bo marmurowa kula jest idealnym eksponatem na taką okazję. Jakże pięknie stacza się w dół po specjalnym rusztowaniu, jakie brawa zbiera po drodze! Po wystawie zaś zapadła decyzja, by przekazać maszynę Ministerstwu Budowy Kanałów. Ministerstwo to czuło się w obowiązku przeprogramować dematerializację furi błota na piętnastometrowy odcinek rowu, jednak któż przeprogramowałby wytwarzanie kul oklaskiwane przez samego Pierwszego Uczonego? W dodatku demontujący maszynę technicy

uznali, że spiralna zjeżdżalnia dla kul jest elementem wystawy a nie składnikiem technologii, zostawili więc ją tam, gdzie była. I teraz kule walą się w próżnię — czyż nie proste to i zrozumiałe!?

Wracaj zatem z Cicerem do pojazdu! Jest już po południu, a — jak zwykle mawiałeś — w porze popołudniowej należy się bliżnim taryfa ulgowa...

S.P. wparł się mocno stopami w ziemię, a twarz jego przybrała zacięty wyraz. Widać było, że nie zamierza rejterować w obliczu tego głupstwa. Uśmiechnąwszy się prowokacyjnie powiedział, iż ma podstawy, aby wątpić, czy transmaterializator jest rzeczywiście tak doskonały, jak się to o nim twierdzi.

— Jeśli zażąda obywatel, aby na oczach tych kilkuset poważnych ludzi pracy zmaterializować tysiące balowych pantofelków, to będę zmuszony w imieniu czujących odrazę do zbytku i próżności pracowników kategorycznie obywatelowi odmówić — przyjął wyzwanie Cicero, uderzając w ideologiczne tony.

S.P. odparł, iż nie zamierza żądać pantofelków, lecz pragnie ujrzeć, jak машина wytwarza jakiś użyteczny przedmiot. — A jakież to użyteczny przedmiot rozwiałby obywatela — zaskakujący przyznam — sceptycyzm?

S.P. musiał podjąć błyskawiczną i trafną decyzję. Wzrok jego padł na wehikuł, którym przyjechali. Pewnym głosem oznajmił, że wątpliwości jego rozwiałoby zmaterializowanie przynajmniej jednego sprawnego pojazdu. Cicero spojrzał nań zaskoczony i zde gustowany zarazem.

— Wybacz obywatel, ale myślę, że jest to idea całkowicie nieracjonalna.

S.P. zdecydował się nie dyskutować o ogólnikach, lecz pokonać głupotę uporem. Splótł ręce na piersi, ściągnął brwi i oznajmił, że nauki techniczne należą do kategorii instrumentalnych i największe nawet osiągnięcie teoretyczne musi mieć praktyczne zastosowanie. Tonem groźby dodał, iż jeśli nie zostanie przekonany, nie zawaha się dawać w przyszłości publicznie świadectwa wątpliwościom co do utopiańskich osiągnięć.

Cicero nie posiadał się z oburzenia. Poczerwieniał, ale zaraz zbladł, bo ogarnął go strach. Gdyby rzeczywiście S.P. miał zacząć skalować Utopię, to odpowiedzialność spadłaby na niego. Jego uczona, podszewkowa kariera zostałaby złamana. Prychnąwszy jak kot, odwrócił się od S.P. i zbliżył do kierownika robót. Naradzali się długo ścisłymi głosami. Kierownik wszedł po schodkach do kabiny transmaterializatora, stamtąd długo telefonował, potem prosił do telefonu Cicera.

Konsultacje przedłużały się, a S.P. wciąż stał z założonymi rękami i zaciętą miną. Jego myśli skupiały się na jednym: zdecydują się czy nie? Emocje jego podzielali stojący bliżej robotnicy. Zbliżyli się, z sympatią i zaciekawieniem popatrywali na S.P. oraz szeptem wymieniali jakieś uwagi. Ci, którzy stali dalej i nie słyszeli rozmowy, w mig zorientowali się, że nadzór przestał czuwać. Kładli się na ziemi, zwijali w kłębek i natychmiast zasypiali z kciukiem w ustach.

Po niespełna godzinie, w czasie której S.P. nie dostrzegł żadnych oznak zmiany stanowiska, Cicero z kierownikiem zaczęli w kabinie coś pisać. Byli w najwyższym stopniu podenerwowani. W pewnym momencie kierownik wyjrzał przez okienko, zobaczył, że trzy czwarte jego ludzi śpi, zaklął, zbiegł po schodkach i krzykiem począł zaganiać ich do roboty. Rozciągnięto pośpiesznie harmonijkę, okolicą wstrząsnęła implozja, wieża zatrzęsa się, a na pracujących siknęła wrzątek.

Kiedy rozgardiasz się uspokoił, Cicero z kierownikiem podeszli do S.P.

— Jeśli wciąż obstaje obywatel przy zmaterializowaniu pojazdu, to proszę podpisać w zaznaczonych miejscach — poinformował Cicero i podetknął S.P. pod nos plik dokumentów.

S.P. pobieżnie przejrzał sporządzone pisma. Były wśród nich: zmieniony harmonogram jego pobytu w Utopii, program nowej imprezy towarzyszącej, nominacja Cicera na opiekuna naukowego oraz kierownika na dyrektora technicznego imprezy, akt wypożyczenia transmaterializatora Ministerstwu Informacji dla celów pokazowo-dydaktycznych, rozliczenie godzin roboczych w ramach planu Ministerstwa Budowy Kanałów, regulamin BHP, zobowiązanie do zachowania tajemnicy technicznej i szereg innych. S.P. pomyślał, że wszystkie te fikcje prysną, kiedy naoczny efekt uświadomi zebrany korzyść z racjonalnego zastosowania maszyny. Nie wahając się, rozpoczął podpisywanie w każdym z zaznaczonych czternastu miejsc.

W momencie składania ostatniego podpisu kierownik stał już przy maszynie trzymając rękę na dźwigni.

— Gotowe! — krzyknął Cicero. — Można zaczynać!

Zanim S.P. zdążył cokolwiek powiedzieć (a praktyczne uwagi nasunęły mu się zbyt późno, bo cały czas myślał o pierwszym kroku), kierownik pociągnął za dźwignię. W górze maszyny zahuczało, otwarła się kłapa i na krawędzi ukazał się nowiuteński pojazd. Był bez kotła pociągowego, standardowy, staroświecki i nieładnie pomalowany, ale ponad wszelką wątpliwość sprawny i autentyczny. Pojazd balansował przez chwilę na skraju rynny, potem wytoczył się na nią, grzmotnął resorami o kant i zwałił się w przepaść. Leciał powoli, majestatycznie. Zakręcił przy tym kołami i machnął otwartymi drzwiczkami dając w krótkim istnieniu dowód swej żywotności.

S.P. wyrwało się bolesne „nieeeee...”, lecz było za późno, bo pojazd już roztrzaskiwał się o dno kanału. Jego szczątki poruszały się jeszcze, kiedy u góry zaturkotał po rynnie drugi pojazd, na który wystarczyło widać energii z wykopanego rowu. Potem posypało się jeszcze kilka luźnych kół i jedno obite filcem siedzenie.

S.P. złapał się za głowę. Góra świeżego złomu przedstawiała żalosny widok, znacznie gorszy niż porozbijany marmur. Zrozumiał, że ludził się sądząc, iż sprawny umysł i odważne serce mogą naprawić w ciągu kilku chwil małe kawał-

ki zepsutej całości. Czuł, że musiałby zacząć głębiej, lecz czuł, że nie ma czasu ani sił.

Cóż, S.P., poniosłeś porażkę. Próbowaleś przemycić zdrowy rozsądek do systemu opartego na czymś zgoła innym. Pamiętaj, że Utopia to organizm, a w organizmie jest wiele nielogiczności. W Twoim również. Kiedy napełniasz za bardzo żołądek — tyjesz, a otyłość utrudnia pracę serca. Radość żołądka nie jest radością serca, a radość kopaczy rowów nie jest radością wytwórców pojazdów.

Cicero z pogardą i tryumfem spoglądał na załamanego S.P. Również kierownik ostentacyjnie przestał go zauważać i zajął się wydawaniem poleceń robotnikom. Robotnicy ironicznie uśmiechali się przechodząc obok S.P., ale w śmiechach ich był odcień sympatii i wdzięczności za chwilę rozrywki. Oprócz tego w ich spojrzeniach pobłyskiwała iskierka, której przedtem nie było. Spojrzenie takie miewa zaspany człowiek po filizance mocnej kawy albo po pierwszym kieliszczku. Kilku z nich podeszło i poklepywało S.P. po ramieniu. Ten i ów z uznaniem brał do jego ręki krawat. Kazano im teraz sprzątać złom i przenosić go pod harmonijkę. Robili to sprawnie i ze śmiechem, toczyli pokrzywione koła, zakładali na szyje oderwane drzwiczki i wymachiwali pogiętymi blachami. Ale żarty, jakie wymieniali między sobą spletały się w coraz składniejsze rozmowy. Zaczęło się robić jakoś dziwnie jak na ów północny klimat.

— Idziemy! — rzucił Cicero porozumiawszy się spojrzeniem z tajniakiem. Zarówno oni obaj, jak i nadzorcy budowy zbystrzeli nagle. Ruszyli pospiesznie, by przywracać dawny stan.

A więc jednak, nasz Drogi i Niezastąpiony... Coś posiałeś... Nie tudźmy się, nie jest to dynamit pod posady Utopii, najwyższej kilka ziarenek z wypróżnionej kieszeni, które padają na niezbyt żyzną glebę...

— Czas na nas — rzucił Cicero wyraźnie zły, oddalając się do samochodu. S.P. posłusznie podążył za nim.

Kiedy odjeżdżali, huknęło i resztki pojazdów przekształciły się w ciężki grad marmurowych kul.

Warszawa, 1986–1988